



WŁADYSŁAW STANISŁAW
REYMONT

Pewnego dnia...

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT

Pewnego dnia...

I

Pewnego dnia... o świcie, o majowym wczesnym świcie, w małym domku, przypartym do ziemi pokrzywionymi ścianami, otwarło się okienko i w obramieniu¹ fuksji² rozkwitłych zamajaczyła siwa głowa i zaszemrał cichy, monotony głos.

Pan Pliszka odmawiał pacierze poranne.
Miasto spało jeszcze.

¹*obramienie* — oprawa otaczająca otwór. [przypis edytorski]

²*fuksja* — roślina o zwisających kwiatach, najczęściej czerwonych lub fioletowych, pochodząca z Ameryki Śr. i Płd. [przypis edytorski]

Senne i ciężkie mroki przygniatały świat ciszą, tą dziwną, roz tęsknioną, łzawą ciszą świtania...

Domy, fabryki, ogrody — kłębowiskami ciał bezwładnych i nieprzytomnych majaczyły w mrokach; tylko gdzieś na dachach, w oślepiłych oknach, na czubach drzew ślizgały się brzaski zórz, jakby uśmiechy śniących, jakby spojrzenia zamglone marzeniem, jakby rumieniec trwogi przed dniem, który się już czołgał w przestrzeniach, już się chwiał na krawędziach nocy i zielonymi oczami troski obejmował ziemię...

Cicho było.

Modlitwy pana Pliszki szemrały jak młode liście brzoź, a z domów zgubionych w ciemnościach, z rynien niewidzialnych opadały ciężkie krople rosy i biły w dach domku; biły monotonnie, bezustannie... usypiająco...

Pan Pliszka kończył pacierze i mocno bił się w piersi.

— Kruczek!

Pies cicho przybiegł z głębi ciemnej izby i wskoczył na parapet okna.

— Klęknij, durniu! Służ! Patrz tam! Tam jest, durniu, Pan twojego pana, rozumiesz?

Kruczek zawarczał, usiadł na ogonie, oparł się grzbietem o fuksje i bezmyślnie patrzył w ciemność.

— Nie oszukuj Pana Boga! Mądrała, będzie się podpierał!

Ale Kruczek już nie słuchał pana Pliszki, zeskoczył na podwórze i szczekał pod bramą.

— Ciemnym i głupim zwierzęciem tylko zostaniesz! — mruknął z goryczą, wynosząc zegarek do okna.

Zdumiał się, bo była dopiero czwarta; nigdy się tak wcześnie nie budził.

— Chory jestem czy co?... Półtorej godziny do fabryki!

Położył się cicho na łóżko, aby nikogo nie budzić, i leżał dosyć długo; z drugiej izby rozlegało się donośne chrapanie kilku śpiących, a od trzeciej, maleńkiej, dochodził częsty kaszel...

— Buty ma dziurawe i kaszle! — pomyślał i wstał, bo świt już zaglądał w okno i rozbielał wewnątrz izdebki.

A w przestrzeniach wrzał cichy, a śmiertelny bój z dniem zwycięskim. Pan Pliszka siedział w oknie i machinalnie przesuwiał ziarna różańca, machinalnie powtarzał pacierz i nadśluchiwał...

Jaskółki zaczęły słodko szczebiotać nad oknem, jakby modlitwę do zórz coraz jaśniejszych i do dnia...

Ziemia jakby się prężyła ze snu, a sadzawki fabryczne, niby oczy pokryte pasmami mglistych biel³, otwierały powieki zmroków i patrzyły sennie poprzez rzęsy topoli pochylonych nad nimi.

Czerwone mury fabryk ociekały rosą i drgały w brzaskach jakby dreszczem przebudzenia. Długie szyje kominów fabrycznych, niby żurawie czuwające nad stadem dachów, wyciągały w blaskach świtania dzioby czerwone i piły światło...

³*bielmo* — zmętnienie rogówki w oku. [przypis edytorski]

A długie, błotniste drogi, ścieżki, rowy, szyny kolejowe, strugi wody, ulice czarne jeszcze — pod mgłami oddechów prostowały zmęczone, przepracowane ciała, przeciągały się sennie i zapadały w ciężkie, odrętwiające marzenie o długim odpoczynieniu, o śnie długim... długim...

I pan Pliszka marzył; przesuwiał różaniec, szeptał modlitwy, błędził oczami po konturach domów — ale nic nie widział, zatopiony w sobie, w jakiejś ciężkiej mgle myśli, w tumanie uczuć rozpierzchłych, w chaosie dziwnych drgnień duszy, dziwnych błysków, przeczuć, słów, obrazów a niepokojów... Kłębiło się w nim i rozrastało coś, czego zupełnie nie rozumiał. Czuł tylko, że przenika go głucha tęsknota — ale za czym?... Nie wiedział, jak nie wiedział nawet nazwy tego uczucia, które mu serce rozprężyło...

Drzewa w pewne dni marcowe, w straszne dni słoty i zimna, i wichrów, tak samo tęsknią — ale drzewa tęsknią do wiosny i słońca, a lu-

dzie? Ludzie, jak drzewa wiecznie konające, za tym, co było... tęsknią i płaczą...

Pan Pliszka ocknął się, bo w mgle szarości zapelniającej podwórze rozległ się ostry, długi, monotonny skrzyp.

— Antoni! — pomyślał.

Tak, to był Antoni, stary robotnik, któremu kiedyś wybuch kotła wyparzył oczy, a który teraz pompował wodę na piętra, ciągnął ją kołem ogromnym. Widać go było w brzasku świtania, jakby poza szybą zmatowaną, pochylał się automatycznie, równo, jednakowo, niby wierne ludzkie wahadło...

A koło skrzypiało przeciągle, jęcząco, krzykiem spracowanego żelaza... A Kruczek namiętnie czekał na starego kundla, który przyprowadzał ślepcę do roboty.

Pan Pliszka nie mógł się dzisiaj doczekać gwizdawki⁴.

Poszedł do kuchenki i po cichu rozpałał ogień na kominku.

⁴*gwizdawka* — urządzenie sygnalizacyjne połączone z maszyną parową, daw. używane w fabrykach i parowozach. [przypis edytorski]

— Czy to już czas? — zapytał głos z kąta przysłoniętego parawanem.

— Jeszcze, cichocie⁵, pani, bo się chłopiec obudzi...

Poszedł do drugiego kąta, gdzie stał drugi parawan; tam spał chłopiec, na stoliku było pełno porozrzucanych książek i kajetów⁶, tornister leżał na ziemi, a mundur pod stołem...

Pan Pliszka posprzątał wszystko i poskładał, popatrzył na czerwoną, śpiącą twarz chłopca, uśmiechnął się dziwnie i zabrawszy jego buty, poszedł je czyścić. Na dworze przed domem je czyścił, żeby nie zbudzić nikogo. Buty były mizerne, smutne buty sztubaka⁷, pełne ran, szwów i łat — liryczne buty nędzy, bez podszew, wierzchów, obcasów, a z dumnie sterczącymi jedynie całymi uszami. Pan Pliszka je reparaował⁸ i czyścił z miłością prawdziwą, z tym swoim dziwnym, pełnym słodczy uśmiechem starego psa.

⁵*cichocie* (gw.) — bądźcie cicho. [przypis edytorski]

⁶*kajet* (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

⁷*sztubak* (daw.) — uczeń. [przypis edytorski]

⁸*reparować* (daw., gw.) — reperować. [przypis edytorski]

Dzień już szedł wielkimi krokami, bo już okna na czwartych piętrach były różowe, na trzecich białe, na drugich szare jakby z mgły lodowatej, a na pierwszych połyskiwały twar-
dym, zimnym blaskiem polerowanego bazaltu.

— Trzeba mu kupić buty — pomyślał i drgnął gwałtownie, bo ochrypły, przeraźliwy głos gwizdawki fabrycznej rozdarł ciszę.

W izbie powstał gwałtowny ruch wstawania; cztery postaci zamajaczyły na tapczanach i pośpiesznie szykowały się do roboty.

— Coś mi jest! — pomyślał pan Pliszka i przyśpieszył kroku, bo już z kotłowni buchały czerwone płomienie ognisk, a szyby błyskały w dolnych salach fabryki.

Stanął na codziennym posterunku przy windzie, pochwycił drucianą linkę i czekał na sygnały.

Sale były jeszcze ciche, zmroczone, zalane na dole elektrycznym światłem, a w wyższych piętrach przesycone mdłymi brzaskami dnia, w których majaczyły potężne korpusy maszyn, niby stado bydłał potwornych, leżących bez-

władnie, a przyczajonych jakby do skoku. Pasy i transmisje⁹ zwieszały się ciężko niby żyły wyprute, niby ramiona sennie opuszczone.

Robotnicy wpadali pośpiesznie, witali się skinieniem, oglądali tępo po salach i przywierali do maszyn cicho i pokornie, z jakąś uległością bojaźliwą. Nie dokończone w drodze pacierze brzmiały gdzieś w powietrzu wśród żelaznych szkieletów maszyn; gdzieś rozmowa, czasem trwożny głos zabrzmiał głośniejszy, ale przycichał natychmiast, tylko zmęczone spojrzenia biegały ku oknom, poza którymi stały zielone drzewa, ku polom, jakie widać było pokryte młodą runią¹⁰ zbóż, ku lasom dalekim, dalekim... ku słońcu, ciepłu, powietrzu, swobodzie...

Naraz ryknął sygnał roboty!

Ludzie się wyprostowali automatycznie, maszyny drgnęły, strumień strasznej siły rozlał się wskroś fabryki... Pasy się skurczyły i naprężyły... dreszcz wstrząsnął zębatymi kołami ma-

⁹*transmisja* (daw. techn.) — układ transmisji mocy, przenoszący energię silnika do napędzanych urządzeń. [przypis edytorski]

¹⁰*run* — zieleniejąca roślinność; wschodzące zboże. [przypis edytorski]

szyn... zadygotały żelazne bestie, zatrzęsły się ściany, pochylili się ludzie. Ruch pierwszy... jakby pod uderzeniem huraganu... mgnienie wahania... cichy jęk oporu... stłumiony oddech maszyn i ludzi... przyduszony strasznym rżeniem wysiłku... Zmagania się sił... głuchy, śmiertelny bój... a potem nagły, ogromny, wstrząsający murami krzyk maszyn zwyciężonych i puszczonych w ruch.

— Winda! czwarte! — huczał głos ponurym echem w głębokiej, ciemnej studni czteropiętrowej, w której pracował pan Pliszka ze swoją windą.

Pociągnął za sznur i płynął cicho w górę, bez szelestu, jak potworny pająk po sieci rozpiętej.

— Winda, farbiarnia!

Zapadał znowu na dół, w ciemności; tylko przez czworokątne otwory w ścianach migały mu przed oczyma jak w kalejdoskopie piętra, sale, ludzie, maszyny, towary, okna. Minął suszarnię, jasną, różowioną blaskami poranku strefę, która owiała go rozpalonym, straszliwie

suchym powietrzem i głuchym, niepokojącym szumem maszyn, pokrytych w metalowe pudła; spadł przez apreturę¹¹, przez warstwy zapachów sody, mydła szarego, rozgrzanych smarów, chlorku, wilgotnych a gorących wyzieńców prasowanych materiałów i przez szary, rozłzawiony odblask dnia trzeciego piętra; przedzierał się przez postrzygalnię¹², przez dziwny, białawy świat pyłów bawełnianych, w których połyskiwały zimno długie, poskręcane ostrza maszyn strzyżących, a ludzie majaczyli jakby w tumanie¹³ śnieżnym, niby gorączkowa wizja rozszalałej w męce pracy fabryki.

A potem, niżej jeszcze — przez pralnię, przez gąszcz stłoczonych, rozkrzyczanych warsztatów, przez sieć pasów i transmisji, co tysiącami ramion, niby głowonogi potworne, dusiły

¹¹*apretura* (z fr. *apreter*: wykańczać) — wykańczanie, uszlachetnianie tkanin, m. in. przez nasycanie substancjami zmiękczającymi; tu: dział fabryki włókienniczej, w którym te czynności się wykonuje. [przypis edytorski]

¹²*postrzygalnia* — dział fabryki włókienniczej, w którym wykonuje się postrzyganie (strzyżenie) tkaniny z meszku i wystających nad powierzchnię włókien. [przypis edytorski]

¹³*tuman* — kłęb czegoś sypkiego (np. płatów śniegowych) lub lotnego (pary wodnej) unoszący się w powietrzu i powodujący jego nieprzejrzystość. [przypis edytorski]

wszystko, obejmowały sobą, goniły, chwyciły, spadały spod sufitów, rzucały się przez piętra, przez mury, przez dziedzińce i zdyszane a nie-
zmożone rzucały się na wały, na koła, ześlizgi-
wały się, podnosiły, okręcały wszędzie i prze-
niknięte mocą straszną, rozszalałe, dzikie w swej
potędze — przepełniały fabrykę przyciszonym
a strasznym krzykiem triumfu!

— Zaraz, odniosę tylko blaszankę i pójdę.

— To musi być ciężko Antosowi tak się
ciągle uczyć, co?

— Ciężko? Nie, nie! — odparł cicho chło-
piec, zapatrzony w płat słońca lśniącego w zbior-
niku wody.

— Ale! Ale! — powiedział wątpiaco pan
Pliszka.

Milczeli. Antoś patrzył na sadzawkę, bo słoń-
ce wlekło złote włosy po wodzie, poprzez cienie
drzew stojących dookoła, a pan Pliszka patrzył
na jego żółtą, mizerną twarz i oczy zaczerwie-
nione i na jego mizerne buty, a potem wes-
tchnął ciężko i słuchał cichych rozmów robot-

ników siedzących na cembrowinach sadzawek, grzejących się w słońcu.

— Wie pan Pliszka? Pojedziemy z mamą w Zielone Świątki na wieś.

— Na wieś! Po co? — zdziwił się ogromnie.

— Po co? Odpocząć na świeże powietrze... no...

— Cóż tam dobrego na wsi? Lepiej by Antoś siedział w domu i uczył się... butów ano¹⁴ szkoda.

Antoś spojrział na niego gniewnie, zabrał blaszankę i poszedł.

Pan Pliszka zapalił fajeczkę i ciągnął z wolna dymek.

— Aha! Kupię mu buty, jak przyjedzie ze wsi... podarłby przez dwa dni... Cóż oni będą robić na wsi? Głupi...

Wytrząsnął śpiesznie fajkę, bo gwizdawka już wołała do roboty.

Nie myślał długo o tej wsi, bo znowu hucało pod nim i nad nim.

¹⁴ano (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

- Winda! Suszarnia!
- Winda! Apretura!
- Winda! Farbiarnia!

Jeździł znowu, woził, przystawał, zabierał, wyrzucał, ale jakoś tego nie spostrzegał, bo utkwiło mu w mózgu pytanie: Po co oni pojedą na wieś?

Szczerze i zupełnie tego nie rozumiał i dlatego pewnie się tak męczył.

Naraz drgnął i zwrócił uwagę na rozmowę, jaką pośpiesznie prowadzili jego współlokatorzy; wiozł ich z dołu na czwarte, z wózkami pełnymi mokrego towaru.

— Jedziesz, Adam!

— Pojadę. Nie widziałem już ojców od kopania¹⁵.

— To w sobotę na noc, co?

— A tak, dwa dni świąt.

— Już krzyża ani rąk nie czuję od tej piekielnej roboty.

— A mnie tak jakoś w piersiach boli.

— To Zielone Świątki, co?

¹⁵*kopanie* — wykopki, zbieranie ziemniaków. [przypis edytorski]

— Juści, nie wiesz to?

— A w tej fabryce to się już człowiekowi we łbie przewraca.

— Gdzie się wybierasz? — zapytał prędko pan Pliszka.

— Do domu na święta.

— Daleko?

— I, nie... Koleją do Łukowa, a tam będzie z milką piechotą.

— Łuków... Łuków... tam gdzie jest Szlachecka Wola!

— To w naszej parafii, o miedzę od naszej wsi...

— To wy z której wsi?

— A z Mszawy Górnej.

— A... z szosy zaraz na lewo... tak... — przypominał sobie pan Pliszka.

Wysiedli zaraz, przez dzień jeździli jeszcze po kilka razy windą, ale pan Pliszka już ich nie pytał, przypatrywał się uważnie i milczał.

— Szlachecka Wola! Moja wieś! moja!... — Połknął to nagłe przypomnienie i żuł jak wędzidło, żuł i nie mógł strawić.

Uśmiechnął się pogardliwie na to przypomnienie wsi rodzinnej, cóż ona go obchodziła!

— Na wieś im potrzeba, chamy! — pomyślał naraz gniewnie.

Pan Pliszka był szlachcicem, takim ze Szlacheckiej Woli, na trzech zagonach i jednym krowim ogonie, ale nim był, poczuł to mocno w tej chwili, a potem wolno liczył:

— Zaraz, to już będzie trzydzieści lat... tak... trzy lata... pięć lat... a potem miasteczko Łódź i fabryka. Trzydzieści lat, no... no... tęgi¹⁶ kawał czasu.

Zdziwił się, nie myślał nigdy, że to tak dawno. Obejrzał się w tył, w czas ubiegły, w długie lat trzydzieści, i patrzył trochę z niepokojem i trochę ze smutkiem. Mózg zaczął pracować, a dusza przedzierała się z trudem przez ten gąszcz lat trzydziestu; przez puste, szare, zgubione w pamięci lat trzydzieści, przekopywała się aż do tamtych czasów... do czasów młodości... do czasów dzieciństwa... pasania bydła... aż tam... na dno i początek życia.

¹⁶tęgi — tu: wielki. [przypis edytorski]

I teraz dopiero, w tej chwili, przypomniał sobie, że miał kiedyś młodość, wieś swoją, rodzinę swoją... życie inne...

— Chamy! Po co oni jadą na wieś! — myślał z coraz większą irytacją i jak od psów złych bronił się od wspomnień, które wyłaziły z ciemnych szczelin mózgu i obsiadały go coraz większą ciżbą¹⁷.

Pan Pliszka pierwszy raz od lat dwudziestu źle dzisiaj robił.

Nie słyszał sygnałów, mylił się w piętrach, a często przejeżdżał, nie zabierał niczego i ginął w przepaściach swojej studni, powstawało z tego ogólne zamieszanie, towary się spóźniały, niektóre maszyny musiały czekać na robotę, zwróciło to uwagę powszechną.

W sobotę przy wypłacie wymówił mu to kasjer.

— Pliszka, płacicie karę za nieporządki i opóźnianie!

Pan Pliszka rzucił się jak piorunem uderzony, a potem wybuchnął:

¹⁷*ciżba* — tłum, gromada, duża liczba osób. [przypis edytorski]

— Ja płacę karę, ja! Dwadzieścia lat jestem w fabryce i ani grosza nie zapłaciłem kary, to nie zapłacę i dzisiaj.

— Zapłacicie, tak kazał pan Demehl.

— Pan Demehl! A to zapłacę — zawołał nagle, zrezygnowany.

— ...Pan Demehl — powtarzał cicho, wlokąc się do domu.

Kruczek czekał na niego przed bramą fabryki i czekał radośnie na powitanie.

— Kruczek! Pan Demehl skrzywdził twojego pana, słyszysz! Pan Demehl!

Kruczek na dźwięk nazwiska zaczął szczełkać groźnie, gonił niewidzianego, mścił się za krzywdę swojego pana. A pan Pliszka jakby zapomniał o wszystkim, bo siedział w swojej izbie pod oknem, palił fajkę i nie odzywał się do nikogo, nawet na Kruczka uwagi nie zwracał.

Robotnicy szykowali się śpiesznie do drogi, myli się pod pompą na podwórzu w mroku wieczornym, odziewali odświętnie i zapełniali mieszkanie świątecznym nastrojem; gospody-

ni, pani Radzikowa, i Antoś pomagali im wiązać tobołki.

— Co wieziecie, Adamie, do domu? — pytała.

— Chustkę dla matki, kaszkiet¹⁸ ojcu, a dziewczuchom paciorków¹⁹...

— A wy, Pietrze?

— Obrazików²⁰ i na spódnice²¹ matce.

— A Józef?

— Ja nic; bo to ja jadę gdzie? Mam to gdzie albo do kogo, co? — odburknął gniewnie Józef, mocno odsunął stołek i wyszedł na podwórze; do późnej nocy słychać było głos jego harmonijki... grał zapamiętale, jakby na zagłuszenie swego sieroctwa.

A pani Radzikowa rozkładała te dary wszystkie na stole, przyglądała się im w świetle lampy i składała ostrożnie jak świętości.

¹⁸*kaszkiet* — męska sztywna czapka z daszkiem. [przypis edytorski]

¹⁹*dziewuchom paciorków (wiozę)* (gw.) — dziewczynom paciorki. [przypis edytorski]

²⁰*obraziki* (gw.) — obrazki; daw. obrazki drukowane na kartonie, przeważnie bez oprawy. [przypis edytorski]

²¹*na spódnice* — tu domyślnie: tkaninę na uszycie spódnicy. [przypis edytorski]

— Głupie! — pomyślał pan Pliszka, gwizdnął na Kruczka i wyniósł się na podwórze do Józka.

Poczuł nagłą i złą niechęć, prawie nienawiść do tych ludzi, do ich twarzy, do ich rozradowanych uśmiechów.

Siedział pod ścianą na kamieniu i głupim, bezmyślnym wzrokiem patrzył w księżyc, co się już był wzniósł ponad miasto i płynął jak ptak świetlany poprzez czarne głębie.

Duszę mu omroczył dziwny smutek roz tęsknienia, a na oczy opadł łzawy cień, uparty cień, który ustąpić nie chciał, pomimo że go pan Pliszka ścierał kułakiem²².

I siedział tak długo, wpatrzony w noc miesięczną²³ i wsłuchany w Józkową muzykę, tylko że nic nie widział, nie słyszał i nie pamiętał.

Wieczór był cichy maja, sobotni wieczór fabrycznego miasta, odpocznienia²⁴ wieczór.

²²*kułak* — mocno zaciśnięta dłoń; pięść. [przypis edytorski]

²³*miesięczny* (daw.) — księżycowy; *miesiąc* (daw., poet.): księżyc. [przypis edytorski]

²⁴*odpocznienie* (daw.) — spoczęcie, wypoczynek. [przypis edytorski]

Okna gasły, ciemniały jak źrenice zmożone snem; fabryki milkły i zasypiały, ulice głuchły i zdały się przeciągać w leniwym, rozkosznym odpoczynieniu; domy zanurzały się w ciemności i w ciszę, gwar ludzkich rojowisk przycichał, tylko księżyc świecił coraz jaśniej, tylko czuby drzew szeptały listkami i jakby się wznosiły w tej srebrnej mgle, i jakby piły światło i ciszę, i ukojenie.

— Zostańcie z Bogiem! — zawołał któryś przez okno.

— A idźcie na złamanie karku! — mruknął pan Pliszka ze złością.

Ale już nie mógł usiedzieć, nie. Podniósł się i poszedł za nimi, poszedł wolno, bo jego drewniana noga zaciężyła²⁵ mu dzisiaj, poczuł w niej dziwny ból, dziwny. Staął na drodze i patrzył za nimi.

Długo widział ich czarne sylwetki z białymi tobołkami na plecach, szli przez pola, ku kolei... dobrze widział w tym jasnym, księżycowym świetle. Tak się zapatrzył w nich, że na-

²⁵zaciężyć — dziś popr.: zaciążyć. [przypis edytorski]

wet nie wiedział, kiedy mu zginęli z oczów²⁶ i przepadli w oddaleniu.

Wracał wolno, zmęczony bardzo, włókł się koło fabryki i drgnął jakby z przestachu, księżyc tak świecił z boku w okna, tak je prześwietlał na wskroś, że pan Pliszka najwyraźniej ujrzał czarne, błyszczące kontury maszyn, zda wało mu się, że stalowe kadłuby przysunęły się bliżej, że się pochylają do okien i potworne, olbrzymie łby maszyn patrzą w świat... patrzą na niego, a tak groźnie, tak strasznie i złowrogo, że się aż przeżegnał i śpiesznie powrócił na kamień, pod ścianę.

Józek wciąż grał na harmonijce, a grał coraz zapamiętalej — to walce huczące jak burza, to mazury, które były huraganami, to obierki takie, że aż harmonijka jęczała ze zmęczenia, to znowu dziwne piosenki; piosenki proste, łzawe, smutne — takie, jakie płyną po polach w jesienne noce, pełne pomiotów wichury, płaczów drzew marznących, jęków ziemi zmęczonej i szelestów suchych badyłów, a z bramy

²⁶oczów — dziś popr. forma D. lm: oczu. [przypis edytorski]

główniej odpowiadał mu głos rzewnej ligawki²⁷ pastuszej, dzisiaj pewnie wykręconej z tych wierzb²⁸, co rosły nad fabrycznymi sadzawkami, na której grywał stróż fabryczny.

Ligawka miała dziwny głos płaczu i skargi, jakby jęk duszy tych wierzb, tych drzew tęskniących za słońcem, za wichrem, co buja po polach, jakby jęk tych drzew zatrutowanych przez dymy, duszonych przez mury, przez brak powietrza, przez te straszne odpływy fabryczne konających.

— Józef, a dałbyś spokój! Skrzypisz a skrzypisz, aż uszy bolą! — zawołał pan Pliszka rozdrażniony i powrócił do izby.

Pani Radzikowa jeszcze nie spała, wiązała z pośpiechem frędzle u chustek wełnianych, których stosy leżały na podłodze, a Antoś przy drugim końcu stołu zatkał uszy rękami i uczył się, wykuwał lekcje.

— Przestałaby pani, a to oczów szkoda!

²⁷*ligawka* — ludowy instrument dęty w formie rogu, zrobiony z dwu złączonych połówek uprzednio przeciętego wzdłuż i wydrążonego kawałka drzewa. [przypis edytorski]

²⁸*wierzbiny* — drzewa, krzewy wierzby. [przypis edytorski]

— Muszę skończyć dzisiaj. Jutro przecież jedziemy na wieś, do mojego brata, księdza. Antoś butów nie ma, a i wpis trzeba płacić.

Pan Pliszka usiadł pod niskim kominem i raz po raz dziobał pogrzebaczem w dogasające węgle. Kruczek wyciągnął się przy nim na ziemi i spał.

Cicho było, Józkowa muzyka przez mury dopływała jak niewyraźne majaczenie, a zegar cykał monotonnie, powolnie, ciągle.

— Na długo pani pojedzie? — zapytał cicho.

— Na dwa albo i trzy dni! Chcę też skończyć chustki, to może pan Pliszka w poniedziałek odeśle je do fabryki.

— W poniedziałek święto! — rzekł krótko.

— Ale to przecież fabryka żydowska i kantor będzie otwarty.

— Aha, dobrze.

— A pan Pliszka nigdzie na święta nie pojedzie?

— Także! Nie jestem bogacz, żebym mógł jeździć na spacerzy! — powiedział z naciskiem, rzucił pogrzebacz i poszedł spać.

Ale nie spał, nie mógł zasnąć, w jakąś godzinę zajrzała do niego pani Radzikowa.

— Ze do dnia²⁹ jedziemy, to chciałam prosić, żeby tu pan Pliszka miał oko na mieszkanie.

Nie odpowiedział, zaklął tylko po cichu i leżał jak martwy w tej dziwnej, niezrozumiałej męce, która go przenikała coraz boleśniej: była to męka tęsknoty bezcelowej jeszcze, głuchej, a tak bolesnej, tak bolesnej.

— Wszyscy jada... wielkie państwo... bawowania im potrzeba... ale... — roztarł kulką ten mglisty cień, co mu znowu przydusił oczy. — Bieda aż piszczy, a na spacerzy to pieniędzy mają... Przecież gdybym chciał... gdybym chciał... — Dotknął się woreczka, który nosił na piersiach, tam miał wszystkie swoje oszczędności, składane przez lat dwadzieścia. — Zechcę, to przepiję wszystko albo dam ko-

²⁹do dnia (daw. gw.) — o świcie. [przypis edytorski]

mu... albo też pojedę... aha!... tak... i gdzie? — przesunął ręką po oczach wilgotnych. — Sam jeden człowiek jak ten... ten Kruczek... Chamy, psiakrew! Letnich mieszkań im potrzeba.

Miał już w sobie cały pożar tęsknoty i całe morze goryczy...

Nazajutrz wstał późno, tak późno, że już nie było pani Radzikowej, a jasne, wesołe słońce zalewało jego izbę.

Oprzytomniał rychło i gdy sobie przypomniał dzień wczorajszy, to mu przede wszystkim przyszła na myśl kara, jaką kazał mu zapłacić pan Demehl.

— Kruczek! — zawołał ostro na psa.

Kruczek przeciągał się leniwie, ale patrzył na pana.

Pan Pliszka powiesił na drzwiach stary, poszarpany kozuch.

— Kruczek, twój pan zapłacił karę, słyszysz? Kruczek, pan Demehl! Kruczek, weź pana Demehla! Weź, huzia³⁰ go! gryź go... weź!... Nie daj swojego pana, nie daj! — krzyczał i aż

³⁰*huzia* — okrzyk zachęcający do napaści. [przypis edytorski]

zachrypl z gniewu i zawziętości, złapał kij, bił w kozuch, a Kruczek czekał zajadle, przyskakiwał i rwał zębami, gryzł, skowyczał, rzucał się na kozuch jakby na rzeczywistego nieprzyjaciela i mścił się za krzywdę swojego pana.

— Dostyc, piesku, dostyc, jeszcze go później pogryziemy. Dostyc... pójdziemy teraz się zameldować panu kapitanowi.

Pies przywarł do ziemi ze zmęczenia, a pan Pliszka wygolił się starannie, ubrał odświętnie w jakąś starożytną czamarę³¹, przypiął jakieś trzy ordery na pierś, wyczernił obcięte krótko nad ustami wąsy, wyświętecznił się nadzwyczajnie i wyszedł paradnym krokiem.

— Pójdziecie, panie, do kościoła? — zagadnął go Józef z drugiej izby.

— Idź sam, ja nie pójdę.

Pan Pliszka codziennie gorąco się modlił, ale do kościoła nie chodził.

— Z jezuitami nie trzymam — mawiał.

³¹*czamara* — dawne męskie okrycie wierzchnie, sięgające bioder lub połowy ud, zapinane pod szyję, z długimi, wąskimi rękawami, z ozdobnymi guzikami i szamerunkiem (obszyciami z ozdobnego sznura). [przypis edytorski]

II

Pan Pliszka szedł do swojego kapitana, który był magazynierem jednej z fabryk i mieszkał daleko, bo aż za Rynkiem Geyera³², na krańcu miasta, prawie już w polach.

Daleko to było dla jego lat i drewnianej nogi, ale szedł prędko, jakby uciekał od domu pustego, od samotności. Miał w sobie pamięć głębokiej krzywdy, którą mu wyrządzili robotnicy i pani Radzikowa, tej krzywdy, że pojechali, więc szedł jakby na skargę, na uzalenie; musiał coś wiedzieć o stanie jego duszy Kruczek, bo szedł cicho przy nodze i często podnosił mądre oczy na pana.

— Dobrze! dobrze, Kruczek! — szeptał cicho pan Pliszka i maszerował bocznymi ulicami, bo nie lubił Piotrkowskiej, tam było za wiele ruchu i za wiele ludzi.

³²*Rynek Geyera* — łódzki plac przy ul. Piotrkowskiej, nazwany od pobliskiej fabryki włókienniczej Ludwika Geyera; ob. Plac im. Władysława Reymonta. [przypis edytorski]

Pan kapitan był właśnie w domu, siedział przed lustrem z namydloną brodą i z brzytwą w ręku.

— Pliszka, pokornie się melduję panu kapitanowi.

— He? A... Pliszka, cóż tam?

— Wszystko w porządku.

— Ba? A, w porządku! To dobrze, mój chłopcze, dobrze. Wyczyść no mi buty i daj jeść moim smykom, co?...

Pan Pliszka z przyjemnością czyścił kapitańskie buty i karmił ptaki, które krzykiem i świergotem³³ zapełniały pokój, bo ich było kilkanaście klatek, porozwieszanych po ścianach.

— Ożeniłeś się, chłopcze, co? — pytał kapitan, skrobiąc twarz brzytwą.

— Nie, pokornie melduję.

— Co? A, nie, dobrze, bo w pochodzie baby na nic, rozumiesz?

— Rozumiem! — odrzekł krótko, salutując.

— Co? A, rozumiesz, dobrze.

³³świergot — to samo, co świergot. [przypis edytorski]

Zaczął gwizdać pan kapitan, ostrząc na pasku brzytwę, odpowiedziały mu zaraz chóralnie ptaki i powstał taki pisk, że aż Kruczek zaszcze-
kał w sieni.

— Psiakrew! — zaklął pan Pliszka przez zaciśnięte zęby.

— Co?... — zawołał prędko kapitan, odwracając się do niego.

— Powiedziałem: psiakrew, panie kapita-
nie.

— Co! A, psiakrew!

Pan kapitan popatrzył w okno, splunął i zaczął się myć.

— Gorzałki się napijesz? Hej! Magdusia, a daj no gorzałki!

Weszła zaraz Magdusia, baba jak stóg siana, a ciężka jak furgon³⁴ artyleryjski, bo aż się podłoga ugiwała pod nią, odmierzyła z flaszki potężny kielich gorzałki i postawiła przed panem Pliszką.

Wypił, zasalutował i chciał całować w kapitański łokieć.

³⁴*furgon* — długi, kryty wóz transportowy. [przypis edytorski]

— Stać w szeregu! Cicho! — krzyknął srogo pan kapitan.

Stał pan Pliszka, jak mu kazano, przez chwilę, przez krótką chwilę, bo nagle zasalutował, odwrócił się po żołniersku i wyszedł, nie mówiąc ani słowa, nie słuchając kapitańskiego wołania. Ot, coś go szarpnęło i wyrzuciło za drzwi, nie wiedział, co to było, ale był posłusznym i wyszedł śpiesznie, jakby znowu uciekał. Na Piotrkowskiej zwolnił kroku, bo zaboląła go noga. Uderzył się laską po szczudle, zniecierpliwiony był i zły.

— Po co oni pojechali? — Przyszło mu znowu to samo pytanie na myśl.

Całe dwa dni świąt miał przed sobą, dwa dni samotności.

— Trzeba używać święta! — postanowił sobie.

I używał, chodził po ulicach, wstępował do szynków³⁵, gapił się na ludzi, ale ani na chwilę nie mógł zapomnieć o sobie.

³⁵szynk — podrzędny lokal sprzedający alkohol. [przypis edytorski]

A miasto wrzało świąteczną radością, radością beztroski chwilowej i odpoczynienia.

Słońce zalewało Łódź potokami światła i ciepła. Tak się lśniły radośnie dachy, tak błyszczwały okna, tak spokojnie nurzały się w blaskach fabryki, taka głęboka cisza leżała wśród murów i maszyn, po składach, kantorach, dziedzińcach — tylko na głównych ulicach wrzał rój ludzki, cieszył się życiem i ciepłem. Tłumy ludzkie głębokimi falami pchały się, piętrzyły, przewalały z końca w koniec Łodzi i wciąż płynęły, płynęły.

Katarynki grały po szynkach, po bocznych ulicach, przy karuzelach i w budach z osobliwościami.

Pan Pliszka poddał się tej fali ludzkiej i płynął razem z nią: poruszał się, przystawał, ruszał naprzód z tą samą ogólną bezmyślnością stada ludzkiego, spracowanego stada, które nie wie, co robić ze sobą na wolnym powietrzu, które nie umie się bawić, nie umie radować, nie umie żyć.

Radość ich była smutna i cicha, gwar rozmów przyciszony i pełny trwogi, spojrzenia tępe i zalęknione, ruchy powolne i automatyczne, przystosowane do ruchów maszyn, z którymi zawsze żyli; twarze jakieś szare, martwe, pochylone, karki zgięte, ramiona obwisłe, ciała spłaszczone i chude, dostosowane do ciasnoty sal fabrycznych, do kształtów maszyn, do murów, do potrzeb fabryki.

Cały ten tłum dusz — nie, nie dusz, tłum dopełniaczy maszyn, tłum mizernych, najprostszych kółek i trybików, tłum niezłożonych mechanizmów fabrycznych tłoczył się po ulicach, pił w szynkach i bawił się na karuzelach, w menażeriach, w panoptikach³⁶, tańczył po ciasnych salach, siedział pod domami i nie wiedział, co robić ze sobą, co robić z tą świątecznością — onieśmielony światłem, przestrzeniami wolnymi, ciszą i powstrzymywany w ruchach wewnętrznych nieświadomą zależnością od tych potworów fabryk, stojących dookoła czerwo-

³⁶*panoptikum* — wystawa osobliwości, także figur woskowych. [przypis edytorski]

nym, potężnym wałem ciał kamiennych, uśpio-
nych tylko na chwilę, a czuwających, znikłych
w odpocznieniu, a stróżujących tysiącami okien,
setkami kominów, które zdawały się pochy-
lać w blaskach słonecznych i zaglądać w ulice,
w place, w zaułki, w pola, w domy — jakby
pilnowały swoich niewolników i trzymały ich
grozą swojego czuwania.

I pan Pliszka czuł to wszystko, nie rozu-
miał, ale czuł i dlatego pozwolił się porwać ja-
kiejś gromadzie i płynął z nią aż za miasto, w po-
la, jakby na inny brzeg wyrzuciła go ta fala mia-
sta, rozprysnęła się, a on pozostał nad ławicą
pól pełnych zieleni, kwiatów, ciszy upajającej,
świergotu ptaków.

Fala się rozprysnęła po tym zielonym brze-
gu, a on pozostał tylko z Kruczkiem, który
ogłupiałym wzrokiem patrzył na skowronki wzbi-
jające się w górę i na rozkołysane zboża.

Chłodny i wilgotny wiatr wiał nad polami.

Pan Pliszka patrzył długo, patrzył pogar-
dliwie na ten zielony, rozkwiecony, rozszumia-
ły szmat ziemi, a potem z uśmiechem poli-

towania spostrzegął ludzi siedzących po mie-
dzach, że im tylko głowy widać było ze zbóż.

— Głupie chamy! Kruczek, do nogi! Kru-
czek! — krzyczał, bo pies jakby nagle oszalał,
rzucił się w zboża, gonił za jaskólkami, szcze-
kał na chmury, obwąchiwał tarniny kwitnące,
tarzał się po bruzdach, to leciał bez pamięci
po tym szumiącym, zielonym morzu, to zno-
wu przystawał niespodziewanie i dziwnym, po-
mieszanym wzrokiem patrzył na żyta jakby bie-
gnące ku niemu, aż odskakiwał i ze skowytem
przywierał do ziemi, rozplaszczał się i patrzył,
jak zboża ruszały się, szły... pochylały się nad
nim i dzwoniły zielonymi, lśniącymi źdźbła-
mi!... i odchodziły w drugą stronę...

— Także mi parada, nawet usiąść nie ma
gdzie — szepnął pan Pliszka, zirytowany na
wszystko, a szczególnie na Kruczka, odwrócił
się z pogardą od pól i powracał do miasta, jak
tylko mógł najspieszniej, powracał do domu.

A gdy Kruczek przyszedł, był już gęsty mrok,
pan Pliszka wybuchnął i zbił go srodze.

— To ja sam tu będę siedział, co! Ty chanie, ty parobku głupi, to i tobie także wieś pachnie, co! — krzyczał strasznie, ale że pies się nie bronił, tylko jakby jęczał z bólu i tak patrzył żałośnie, tak żałośnie skomlał i lizał jego rękę, więc pan Pliszka ochłonął prędko, porwał Kruczka na rękę i rozplakał się pewnie pierwszy raz w życiu.

— Cicho, Kruczek! Widzisz... twój pan!... widzisz... sam... sam...

Nie, nie mógł już mówić więcej pan Pliszka...

Ale cały długi wieczór modlił się żarliwie.

Niewesoły miał pierwszy dzień Świąt Zielonych pan Pliszka, nie.

Na drugi dzień już nie mógł dać sobie rady, tak mu pusto i źle było w domu, tak samotnie na ulicach, tak głupio w szynkach i tak tęskno, tak strasznie tęskno za czymś, że już na godziny prawie obliczał czas dzielący go od powrotu tych „głupich chamów”.

Po południu, że już wytrzymać nie mógł, poszedł do fabryki. Włóczył się po salach pustych i cichych, pogrążonych we śnie. Maszyny spały; obwisłe, nieczynne pasy i koła wisiały bezwładnie, pogrążone w głębokiej, dziwnej zadumie; potworne, dziwaczne korpusy maszyn, stalowe łby i ręce — szarzały tajemniczo w świetle słońca; stosy kolorowych towarów leżały spiętrzone po salach. Kurytarze³⁷ były ciche, kotłownie nieme i wygasłe — ale wszędzie, na każdym kroku, w każdym załomie maszyn, czuć było straszną siłę, powstrzymaną tylko, skupioną, jakby przyczajoną na chwilę... Jakieś drzenie ledwie wyczuwalne, jakieś szelesty, jakieś głębokie, ciche głosy chodziły po salach, przepływały wskrós³⁸ maszyn i murów... Czasem nit jakiś trzaskał, czasem pas zsunął niżej, jakaś śruba zaskrzypiała, jakaś blacha drgnęła, jakiś tryb zgrzytnął, jakiś warsztat się poruszył, jakieś szyby zabrzęczały cicho — a potem zno-

³⁷*kurytarz* — dziś popr.: korytarz. [przypis edytorski]

³⁸*wskrós* — dziś popr.: wskroś. [przypis edytorski]

wu panowała cisza, straszna cisza spracowanych maszyn, odpoczywających metali...

Pan Pliszka bał się już chodzić po salach, trwoga chwyciła go za gardło, a ten majestat odpoczywających maszyn obezwładniał go i hipnotyzował. Skurczył się pod jakimś oknem i siedział nieruchomy, martwy, ponury, odmawiał bezwiednie pacierze i lękliwie spoglądał po sali, po sufitach i oknach, bo się bał patrzeć na maszyny, czuł, że one patrzą na niego, że go widzą, iż jest tutaj, te dziwne błyski polerowanej pracą stali, te błyski spojrzeń prawie, przenikały go zimnem i trwogą, a te spojrzenia były wszędzie, wydobywały się ze zwoju sztab i belek, i blach, i kół, i ram, i trybów — i przepelniały sale dziwnym światłem przerażającym duszę ludzką, światłem innego świata, światłem potęgi złej i nieubłaganej.

Ale mimo wszystko było tutaj panu Pliszce lepiej niżli w domu, bo tutaj nie czuł siebie, nie czuł ciężaru własnej duszy, nie tęsknił, przywarł jak pies do nóg odpoczywających potworów i chociaż w trwodze, czuł się przy nich

spokojnym, bo nie był pozostawiony samemu sobie.

Dopiero późnym wieczorem przywłókł się pan Pliszka do domu.

Pani Radzikowa już powróciła, przywitała pana Pliszkę z radością, częstowała różnymi smakołykami przywiezionymi ze wsi i opowiadała z entuzjazmem, jak tam u brata księdza jest pięknie, jak to jabłonki są już w kwiatach; jakie już mają młode kartofle, jakie masło tanie a dobre, jak młodym gęsiom dają siekane jajka, żeby prędzej rosły, jak młode prosięta piją czyste, niezbierrane mleko; z zachwytem najszczerzszym pokazywała księżą sutannę i wielkie buty z cholewami; dał to Antosiowi, trochę to za duże na chłopca, ale Bóg mu i za to zapłacić; dał i futro dla niej, wprawdzie wierzch zatłuszczony i podarty, a futro dawno mole zjadły... ale zawsze... zawsze poczciwy on, szlachetny i dobry człowiek!... I płakała z rozczulenia, płakała z radości, że są jeszcze ludzie dobrzy, bo cóż, że ona biedna, że krwawą pracą utrzymuje siebie i syna, ale ma brata księdza, który i pienią-

dze ma, i konie piękne, i poważanie u ludzi takich bogatych, u dziedziców, że gdy przyjechali na obiad wczoraj, to nie śmiała zasiąść, wolała z Antosiem jeść w kuchni, bo dosyć miała i tak uciechy, że brat z nimi siedzi jak równy z równymi!

I opowiadała, opowiadała upojona wycieczką, opalona na wietrze, pełna słońca, pełna życia, wiary, nadziei, którą przywiozła stamtąd... z pól, z łąk, z lasów.

A potem opowiadał Antoś i miał serce pełne radości, a oczy pełne łez, zachwytu i szczerości.

— O, jak tylko dorosnę, to zabiorę mamę i pojedziemy na wieś, tam będziemy żyć, bo tam jest tylko dobrze! tam! — wołał rozentuzjzmowany i podnosząc oczy opowiadał jedno i to samo, aż go matka musiała wypędzać spać, bo byłby opowiadał noc całą.

A pan Pliszka słuchał uważnie, ale nie rzekł ani słowa... „Bo tam, na wsi, jest tylko dobrze, tam!” — powtarzał w duszy słowa Antosia i dziwnie się uśmiechał, dziwnie.

A późnym wieczorem, bo już przed samą północą, powrócili robotnicy. Powrócili jak burza wiosenna, pełni wesela i uciechy i napełnili izdebki gwarem radości. Szczęście biło im z opalonych twarzy. Pokładli się zaraz, ale gadali długo, wspominali, śmiali się. Adam miał spuchniętą twarz, nic to jednak, to tylko w karczmie na zabawie trochę się pobił, musiał przecież się „pobarować” ... Hej! hej! jeszcze siły ma! Jeszcze go ta Łódź nie zżarła! Niech tylko powróci do ojców, posiedzi ze dwie niedziele, to zobaczą...

— Spalibyście! Pyskują i pyskują, a człowiek usnąć nie może — huknął na nich pan Pliszka i ostro zatrzaskał drzwi.

Co go to obchodziło.

— Sprali mu pysk, a to bydlę jeszcze się cieszy. Chamy! chamy! parobasy! Zobaczyli krowie ogony i cieszą się — myślał pan Pliszka z taką wściekłością, że chciało mu się sprać Kruczka, ale nie sprął, siedział do świtu na łóżku i odmawiał różaniec żarliwie, i z uporem odpędzał

od siebie tęsknotę, ból, niepokój, mękę, jaką mu sprawiło to przypomnienie wsi.

— Żeby to najjaśniejsze spaliły! Człowiek pracuje jak wół, a jeszcze spokoju nie ma! — zaklął rano, ale sam nie wiedział, pod jakim adresem.

Tylko jakby się mścił na windzie, bo tak przystawał ostro, że uderzała z jękiem o progi pięt.

Nie chciał ich pytać o nic. Ale gdy spotkał raz i drugi, nie wytrzymał i rzucił szorstko i lękliwie:

— Cóż, trafiliście do domu?

Spojrzeli zdumieni — jakżeby można nie trafić do domu?

— Prawda, przecież to zaraz ze szosy³⁹ na lewo, między topolami!...

— Topole — oho! — już je dawno dziedzić wyciąć kazali...

— Nie ma topoli — jęknęło mu serce i mówił śpieszniej: — ...a potem koło kapliczki cmentarz.

³⁹ze szosy — dziś: z szosy. [przypis edytorski]

— Kapliczki? Jeszczem bydło pasał, jak ją rozebrali...

— ...a potem przez groblę⁴⁰, koło karczmy i już wieś...

— A juści! Ino⁴¹ że ani grobli, ani karczmy już nie ma...

Nie pytał się już więcej.

— Topole, kapliczka, karczma, grobla... nie ma, dlaczego nie ma?... Nie ma... są — pamięta dobrze, widzi teraz. — Nie...

I cały tydzień, cały długi tydzień nie mówił z nimi, nie pytał, a tylko żył przypominaniem sobie topoli, karczmy, grobli, kapliczki.

Dopiero w sobotę po robocie przysiadł się do nich i zapytał:

— Dobrze wam było?

— O Jezu, ino do świętego Jana robił będe, a potem to niechta⁴² morówka⁴³ weźmie

⁴⁰*grobla* — wał ziemny utrzymujący wodę w sztucznych zbiornikach wodnych, takich jak stawy i kanały; grzbietem grobli często wiodły drogi. [przypis edytorski]

⁴¹*ino* (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

⁴²*niechta* (gw.) — niech tam, niechaj. [przypis edytorski]

⁴³*morówka* — mór, śmiertelna choroba. [przypis edytorski]

to miasteczko Łódź i te fabryki — wykrzyknął Józef.

Pan Pliszka uśmiechnął się z politowaniem.

— Komornik⁴⁴ na wsi, to większy pan na co dzień niżli człowiek fabryczny w niedzielę...

— Głupstwa pleciecie, Adamie! — powiedział pan Pliszka, ale mimo to przyniósł wódki, częstował ich i zmuszał do opowiadania o każdej drodze, o każdym drzewie, o polach, o lasach — o wszystkim... I tak się zapalał, tak się interesował tym życiem wsi, że Adam mu rzekł w końcu:

— A bo to pan Pliszka nie może rzucić fabryki! Kupicie sobie gruntu między swoimi i gospodarzem będziecie, a nie takim parobkiem przy fabryce, jak my wszystkie.

Pan Pliszka zirytował się tym projektem tak silnie, że nawymyślał im od głupich chamów i poszedł spać.

Obudził się w nocy, usiadł na łóżku i myślał:

⁴⁴*komornik* — chłop nieposiadający gospodarstwa ani domu, opłacający własną pracą swój pobyt w domu innego, bogatszego chłopca a. właściciela ziemskiego. [przypis edytorski]

— Wrócić albo co! A może tam kto z moich żyje jeszcze?

Nie spał już tej nocy pan Pliszka, nie spał i nocy następnych... A dni przechodziły nieubłaganą koleją i przepadały nieubłaganie.

...Były wiosenne, rozśpiewane, przesłonecznione, czarowne.

Pan Pliszka płakał w męce.

...Były zadeszczone, szare, smutne, długie jak żal...

Pan Pliszka płakał z tęsknoty.

...Były zimne, zmęczone i smutne jak maszyny spracowane.

Pan Pliszka!... Ach, pan Pliszka się modlił...

...A noce były jak krzyki tęsknoty.

...A wieczory były jak ciężkie marzenia konających.

...A poranki przychodziły ciche, łzawe, zrozpaczone — a pan Pliszka już nie płakał, już się nie modlił, tylko patrzył w świat — tam!

Ale pan Pliszka odejść nie mógł, bał się fabryki!...

Tak, pan Pliszka bał się fabryki.

Nie mógł się na nic zdecydować, nie śmiał, a przy tym trzymał go jeszcze dziwny lęk.

— Cóż bym tam robił? — zapytywał siebie po tysiąc razy i coraz częściej nocami widzia-
no go zapatrzonym w pole i niebo, ale i coraz
częściej nocami siadał przed domem i patrzył
na fabrykę, na ciemne kontury murów, co jak
zmora dusząca przywarły do ziemi, objęły sobą
i ssały nieubłaganie; coraz częściej pan Pliszka
czuł w sobie ruch tych sal nieskończonych, ten
zgiełk maszyn, te wiry sił i coraz słabszym się
czuł, coraz niedołęźniejszym, coraz pokorniej-
szym wzrokiem patrzył na żelazne profile... co-
raz pokorniejszym... aż pewnej niedzieli, po ca-
łych tygodniach tej męki niewypowiedzianej,
gwizdnął na psa i poszedł za miasto, daleko,
daleko, w pola czyste... tam, gdzie już nie było
fabryk, a tylko dachy słomianych domów wy-
chylały się ze zbóż wykłoszonych, gdzie drze-
wa nie konały zatrute odpływami fabryk, gdzie
zboża jak woda falowały w blaskach słońca, tam

gdzie łany, niby barchan⁴⁵ zielony nakrapiany żółtymi ognichami⁴⁶, rozlewały się jak morze, gdzie wiatr pieszczotliwy, miękki, gził się swawolnie i targał zielone brody wierzb pochyłych, i rozdmuchiwał przekornie czuprynę płowego⁴⁷ żyta — tam, na wieś prawdziwą... Pan Pliszka się cofnął, uderzył go niemile wiatr, powrócił do jakiegoś podmiejskiego szynku, wypił kieliszek wódki, posiedział i poszedł znowu w pole....

Nie krzyczał już pan Pliszka na Kruczka, nie zabraniał mu szaleć, nie czuł już pogardy do ludzi łązających po miedzach i drózkach... przeniknęła go głęboka cisza majowego popołudnia.

Usiadł nad jakimś rowem pełnym wody, po której skakały żaby, pełnym żółtych kwiatów, pełnym traw i krzaków olszyn, pełnym robaków pełzających po liściach i ziemi, pełnym dziwnego, cudownego życia...

⁴⁵*barchan* — półksiężycowata wydma. [przypis edytorski]

⁴⁶*ognicha* — gorczyca polna, chwast o żółtych kwiatach rosnący na gliniastych polach i ugorach. [przypis edytorski]

⁴⁷*płowy* — żółtawy o szarym odcieniu. [przypis edytorski]

Pan Pliszka zdjął czapkę, było mu bardzo gorąco.

Skowronki jakby pijane wiosną śpiewały nad nim, a tam w puszczech żytnich ćwierkały kuropatwy, zwoływały się, woda tak dziwnie, tak słodko szumiała. Słońce przypiekało, aż żaby wychylały swoje okrągłe oczy spod wody i nukały głucho, monotennie... sennie... a ze wszystkich stron płynął szum, chrzęst; płynęła słodka muzyka chrząszczyków, przepiórek, płynęły ciepłe, upajające zapachy macierzanki, ziemi rozgrzanej, zapachy złotego słońca...

Panu Pliszce zaczęło się w głowie kręcić.

Ale siedział i patrzył, i słuchał, i czuł, i brał coraz potężniej w siebie emanacje tej wiosny i tych pól.

— Jezus mój najśłodszy! — szepnął bezwiednie i zaczął szukać po kieszeniach chustki. — Jezus mój, Jezus! — powtarzał i szukał wciąż chustki, a łzy ciężkie, jak ziarna pełne, całym różańcem spływały mu po twarzy; nie wiedział o tym, nie wiedział już nic, tęsknota

szeroka jak te pola objęła mu serce i szarpała boleśnie, nie do wytrzymania!

— Panie! panie!... co to wam?

Wzdrygnął się, Józef siedział obok niego z harmonijką.

— A tobie, chamie, co do tego! — krzyknął i chciał się porwać i iść; nie miał sił, pozostał.

A Józef odsunął się nieco i zapatrzony w obłoki, co jak białe gołębie krążyły po błękitach, grał zapamiętale.

A dusza pana Pliszki uległa już zupełnie.

Wieczór nadchodził, dzwony kościelne biły ponieszporne⁴⁸ hymny, głos leciał po zbożach i trawach, że aż drgały źdźbła i ptaki milkły. Ziemia okrywała się rosą, przysłaniała się ciszą i mrokiem... cichła. Słońce kładło się za lasy, zboża się pochyliły jakby w zadumaniu... szmer wody przycichł, wiatr uwiązał w lasach, wieczór nadchodził...

⁴⁸nieszpory (z łac. *vespera*: wieczór) — wieczorne nabożeństwo w kościołach chrześcijańskich, tradycyjnie odprawiane o zachodzie słońca. [przypis edytorski]

— Noga mnie tak bolała, że wytrzymać nie mogłem — tłumaczył pan Pliszka, gdy powracali do domu.

— Pójdę, dosyć mam tego, pójdę! — powiedział sobie stanowczo.

Ale rano w fabryce nie śmiał już tego powtórzyć, czuł wyraźnie dzisiaj, że fabryka go nie puści, że te bydlęta żelazne patrzą na niego groźnie, że te mury...

Nie, nie puści...

A tymczasem nocami, w marzeniu już był tam, u swoich; już chodzi po chatach panów braci, wita się, raduje, odnajduje wszystkich i jest mu tak dobrze, tak strasznie dobrze.

O, dosyć mu tej męki, dosyć.

— Jutro pójdę, żeby nie wiem co, pójdę — powiedział.

I przyszło w końcu to jutro, pan Pliszka czekał wieczoru, nie miał odwagi odchodzić w dzień.

Nie zwierzył się z tym planem nikomu.

I w nocy, gdy już w izbach wszyscy spali, wstał po cichu z łóżka, spakował w tłumok⁴⁹

⁴⁹*tłumok* — zawiniątko, nieforemny pakunek. [przypis edytorski]

rzeczy i czekał tylko świtu, bo pociąg odchodził rano.

Kruczek niespokojnie obwąchiwał tłumok i patrzył mu w oczy.

— W świat pójdziemy, do swoich, w świat!
— powiedział mu cicho.

Pan Pliszka siedział w oknie pomiędzy rozkwitłymi fuksjami, czekał świtu, a patrzył na fabrykę, która olbrzymią, czarną plamą leżała w szarej, smutnej nocy.

Deszcz mżył drobny i ciepły.

— Jutro już tam będę! — myślał pan Pliszka i serce zrywało mu się z szalonej radości.

Cień fabryk jakby zolbrzymiał i jakby pęknął, i rozlewał się szeroko — na świat cały.

Pana Pliszkę noga zaczęła boleć dokuczliwie.

Przymknął oczy, bo kominy fabryki wychyliły się z ciemności i były tak blisko, tuż nad nim, jakby się pochylały... jakby chciały go chwycić.

— Winda!

Drgnął gwałtownie, ten krzyk rozległ się w nim, a jemu wyraźnie się zdawało, że to z fabryki głos dochodzi.

— Nie dam się, nie. — Wyskoczył przez okno, zarzucił tłumok na plecy i ruszył drogą.

Ale musiał przechodzić wzdłuż całej fabryki.

— Winda!

— Jezus, Maria! — Przycisnął się do parkanu i z przerażeniem patrzył na czarne, straszne okna fabryczne.

Wydało mu się, że te okna czuwają, że tam w ich głębi widzi całą ciżbę poskręcanych, potwornych maszyn, że wszystkie się skłębiły i patrzą na niego.

Cisza była śmiertelna, deszcz spływał sznurami drobnych paciorków i szeleścił ledwie dosłyszalnie wśród liści.

Biełało już nieco, wyraźnie, coraz wyraźniej spostrzegał fabryki; wszędzie stały, ze wszystkich stron wyrastały, czaiły się w zmrokach, a zagradały drogę... Szara, deszczowa kurza wa oblewała je jeszcze i mroki przysłaniały, ale

one rosły w tym świtanium ponurym, potężniały, podnosiły szyje coraz wyżej... coraz groźniej!

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!

Ruszył galopem prawie, przebiegł z zamkniętymi oczami obok fabryki i odetchnął aż po polach pod lasem, który mu zagroził drogę, a że czuł się strasznie zmęczony, usiadł na jakimś zagonie i odpoczywał.

Był już kawał drogi od domu, ale fabrykę widział dobrze.

Było już coraz jaśniej.

Zerwał się, gdzieś daleko na drugim końcu miasta zadrgał świst fabryczny.

Pan Pliszka porwał się i wszedł śpiesznie w las.

A świsty szły za nim jak psy i gryzły go w samo serce... o, jeden... drugi... dziesiąty, co chwila, co sekunda, co mgnienie wołały przenikliwie głosy fabryk!

Obejrzał się, w deszczowych mgłach już się jarzyły elektryczne słońca i wykwiwały nad miastem.

— Jezusie najśłodszy! Jezusie! — bełkotał przerażony.

Przyśpieszał kroku, chciał uciec, za wszelką cenę chciał uciec, ale te głosy biegły za nim, huczały w lesie, przedzierały się przez gęstwę drzew, przez mgły, przez oddalenie i znajdowały go, i biły w jego duszę, przenikały ją strachem, skowytami dzikim buntu i rozpaczem.

Naraz i potężny głos jego fabryki rozdarł bolesnym dźwiękiem powietrze, ach, tak znał ten głos, tak znał!

Staął, przestał oddychać, przestał wiedzieć i pamiętać... a fabryka wołała go potężnym głosem gniewu:

— Wróć! wróć! wróć!

W pół godziny później stał znowu na swojej windzie.

— Winda, blich⁵⁰!

— Winda, suszarnia!

— Winda, apretura!

⁵⁰*blich* — miejsce, w którym bieli się tkaniny. [przypis edytorski]

Huczała komenda w tej głębokiej studni, a pan Pliszka, cichy, cichszy niż zwykle i bardziej pokorny, jeździł jak zwykle równo, spokojnie, automatycznie.

Czasami tylko, gdy myślał o tych dniach buntów, płakał — ale płakał cicho, bał się, aby maszyny nie słyszały tej skargi.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pewnego-dnia>

Tekst opracowany na podstawie:

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Doroty Kowalskiej. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Wołk, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: gent - textile factory, P K@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0799-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

WŁADYSŁAW STANISŁAW REYMONT *Pewnego dnia...*
Jak możesz pomóc?

57

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,

KRS 0000070056